

Classics To Go

# THE FESTIVAL

FESTYN



H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

FESTYN

(THE FESTIVAL)



# FESTYN

**W**ezwany przez Ojców, szedłem wzdłuż brzegu Wschodniego Morza. Wędrowałem do miejsca, którego nigdy nie widziałem, ale o którym często śniłem – ku pradawnemu miastu moich przodków.

Był czas Yuletide, które ludzie nazywają Bożym narodzeniem, choć jednak w głębi serc wiedzą, że jest starsze niż Betlejem i Babilon, starsze niż Memphis i cała ludzkość. To właśnie jest Yuletide!

Dotarłem w końcu do pradawnego nadmorskiego miasteczka, gdzie zamieszkiwał mój lud i zachowywał tradycję festynu nawet w tych czasach, kiedy był zakazany; Ojcowie nakazali synom, aby urządzali podobny festyn raz na sto lat; nie chcieli bowiem, by pamięć o starych sekretach poszła w zapomnienie. Lud mój był stary; był już stary, kiedy przed trzystu laty do kraju tego przybyli osadnicy. Był dumny, bowiem jego śniadolicy, skryci członkowie pochodzili z południa, gdzie rosły gaje orchidei i opium i mówili innym językiem, zanim nauczyli się języka błękitnookich rybaków.

Teraz zaś byli rozproszeni i łączyły ich jedynie rytuały misteriów, których żaden żyjący nie był w stanie zrozumieć.

Ja byłem tym, który wracał tej nocy do starej rybackiej osady, bowiem, jak każe legenda, tylko biedni i samotni pamiętają.

Za załomem wzgórza ujrzałem Kingsport rozpościerające się w mroźnej, srebrnej poświacie; ośnieżone Kingsport ze swymi pradawnymi chorągiewkami, wieżyczkami, kominami, kalenicami, nabrzeżem i niewielkimi mostkami, wierzbami i cmentarzami, z bezkresnym labiryntem wąskich, stromych, krętych uliczek i przyprawiającym o zawrót głowy wzniesieniem centralnym, nad którym górował, nietknięty przez czas,

kościół. Przypominająca gąszcz kombinacja kolonialnych domków, rozstawionych pod różnorakim kątem, dużych i małych, parterowych i piętrowych przywodziła na myśl klocki, rozsypane przez rozkapryszone dziecko. Ponad osadą unosił się na mrocznych skrzydłach cień starożytności; przemykał ponad pobielonymi przez zimę topolami i dwuspadowymi dachami. Latarnie i wielopanelowe okna, jedno po drugim, rozpałały się w zimnym zmierzchu dołączając do Oriona i archaicznych gwiazd.

Fale tłukły zaciekle o przegniłe nabrzeże; tajemnicze odwieczne morze, z którego w dawniejszych czasach przybył mój lud.

Obok drogi, w pewnej odległości od posępnego wierzchołka wzniesienia, omiecionego do czysta podmuchami wiatru, ujrzałem cmentarz, na którym czarne nagrobne kamienie wyzierały upiornie ze śniegu, niczym gnijące paznokcie gigantycznego trupa. Niewidoczna droga była bardzo odludna i czasami wydawało mi się, że słyszę dobiegający z oddali skrzyp szubienicy na wietrze.

Leżało tu czterech moich ziomków. Powieszono ich w 1692 roku, podejrzewając o czary, choć nie wiedziałem, gdzie to dokładnie się stało.

Schodząc ze wzgórza ku brzegowi morza nasłuchiwałem radosnych wieczornych odgłosów dochodzących z wioski, ale –jak się okazało – bezskutecznie. Pomyślałem o porze roku i doszedłem do wniosku, że ci starzy Purytanie mogą mieć zupełnie inne świąteczne zwyczaje i być może siedzą teraz przy kominkach pogrążeni w cichej, acz żarliwej modlitwie. Przestałem oczekiwać radosnych odgłosów ani nie wypatrywałem wędrowców. Schodziłem dziarsko w dół mijając ciche, oświetlone wiejskie chaty i mroczne kamienne ściany. Szyldy starych sklepów i nadmorskich tawern skrzypiały w podmuchach słonej bryzy, a groteskowe kołatki na

drzwiach otoczonych z dwóch stron kolumnkami, lśniły w blasku płynącym z niewielkich, zaciągniętymi zasłonami, okien.

Widziałem mapy miasta i wiedziałem gdzie znajdę dom mego ludu. Powiedziano, że zostanę rozpoznany i powitany z radością – legendy w osadzie mają bowiem długi żywot. Pospiesznie dotarłem przez Back Street do Circle Court i poprzez świeży śnieg, pokrywający jedyną brukowaną ulicę w mieście, przeszedłem do rozgałęzienia Green Lane, na tyłach Market House. Stare mapy okazały się dokładne i nie miałem najmniejszych problemów. W Arkham musieli jednak kłamać twierdząc, że docierają tu tramwaje, gdyż nie zauważyłem przeciągniętych w górze przewodów. Szyny ukryłby śnieg. Byłem zadowolony, że idę pieszo, bowiem ze wzgórza osada prezentowała się wręcz urzekająco. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zastukam do drzwi mego ludu, siódmego budynku po lewej, przy Green Lane, ze starym spiczastym dachem i wystającym pięterkiem, zbudowanego przed 1650 rokiem.

Kiedy tam dotarłem, w domu paliło się światło, a ujrawszy „diamentowe” szybki okna stwierdziłem, że budynek musiał być zachowany w niemal nienaruszonym stanie. Górna część zwieszała się nad wąską, zarośniętą przez trawę ulicą i niemal stykała się z nawisem piętra domu naprzeciwko. Tym samym znalazłem się w swego rodzaju tunelu, gdzie na pojedynczym kamiennym stopniu nie było nawet płątka śniegu. Chodnika tu nie uświadczyłeś, ale w wielu domach do wysoko umieszczonych drzwi dochodziło się wzdłuż podwójnej kondygnacji schodów z barierkami z kutego żelaza.

Było to nader osobliwe a ponieważ nie znałem Nowej Anglii nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Pomimo iż wszystko to bardzo mi się podobało, byłbym bardziej rad gdybym ujrzał na śniegu ślady stóp ludzi na ulicach i odciągnięte zasłony w przynajmniej kilku mijanych oknach.

Kiedy zastukałem, posługując się przy tym starą żelazną kołatką, byłem już na wpół przerażony. W moim wnętrzu wzbierał jakiś nieokreślony strach, być może wywołała go osobliwość mojego dziedzictwa, posępność wieczoru lub też dziwna cisza panująca w tym osobliwym mieście. Kiedy zaś odpowiedziano na moje stukanie, przeraziłem się jeszcze bardziej, bo zanim drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem, nie słyszałem aby ktoś do nich podchodził. Strach mój nie trwał jednak długo, gdyż zobaczyłem przed sobą odzianego w nocną koszulę starca w papuciach i widok ten, oraz jego dobrotliwy wyraz twarzy, w znacznym stopniu mnie uspokoił. Staruszek dał mi znak, że był niemową. Rysikiem na woskowej tabliczce, którą miał przy sobie, napisał mi nader oryginalne, pradawne powitanie.

Skinął na mnie i wszedłem do niskiego, oświetlonego blaskiem świec pokoju z masywnymi, odsłoniętymi belkami stropowymi i ciemnymi, mocnymi – choć nielicznymi – siedemnastowiecznymi meblami. Przeszłość nadal żyła w tym domu – nie zapomniano o najdrobniejszych szczegółach. Był tu ogromny kominek oraz kołowrotek, przy którym siedziała zgrzybiała staruszka odwrócona do mnie plecami. Miała na sobie luźny szlafrok i czepek na głowie. Przędła w milczeniu, co mogło wydawać się dziwne, była przecież pora świąt. Miejsce to zdawało się być przesiąknięte do cna wilgocią i w głębi duszy zastanawiałem się jak to możliwe, iż pali się tu ogień.

Lawa z wysokim oparciem stała na wprost zasłoniętego okna i wydawało mi się, że ktoś na niej siedział; nie byłem tego jednak zbyt pewny. To, co zobaczyłem, bynajmniej nie przypadło mi do gustu i ponownie ogarnął mnie dziwny lęk.

Strach ów, pomimo iż wcześniej zelżał, zaczął narastać ze wzmożoną siłą, bo im dłużej wpatrywałem się w rozjaśnioną dobrotliwym uśmiechem twarz staruszka, tym bardziej mnie ona przerażała. Oczy w ogóle się nie

poruszały, a skóra przypominała bardziej wosk. Ostatecznie doszedłem do wniosku, iż nie była to wcale twarz, ale diabelska, sprytnie spreparowana maska. Nagle stare, zwiotczałe dłonie odziane – nie wiedzieć czemu – w czarne rękawiczki poruszyły się przesuwając rysikiem po tabliczce i dowiedziałem się, że muszę poczekać zanim zostaną zaprowadzony na miejsce festynu.

Wskazawszy na krzesło, stół i stertę ksiąg starzec wyszedł z pokoju; kiedy zaś usiadłem zamierzając pogрузić się w lekturze, poczułem iż książki, bez wyjątku, cuchnęły pleśnią i wilgocią, natrafiłem wśród nich na niesamowite „Cuda Nauki” starego Marraystera, przerażające „Saducismus Triumphatus” Josepha Glanvila, opublikowane w 1681 roku, szokującą „Daemonaatreję” Remigiusa, wydaną w 1595 roku w Lyonie i najgorszy ze wszystkich, odrażający, plugawy „Necronomicon” szalonego Araba Abdula Alhazreda w zakazanym tłumaczeniu łacińskim Olaus Wormiusa. Książki tej nigdy nie widziałem, ale słyszałem krążące na jej temat bluźniercze plotki. Nikt się do mnie nie odezwał, ciszę zakłócało jedynie skrzypienie poruszanych wiatrem szyldów na zewnątrz i turkot kołowrotka, gdyż staruszka w czepku przędła z nieprzerwaną milczącą zaciętością. Zarówno pokój, jak i ludzie, i książki wydali mi się wyjątkowo posepni i niepokojący, ale ponieważ pradawna tradycja mych ojców przyzwyczaiła mnie do dziwnych obrzędów, osobliwość tego, co tu zobaczyłem nie zaskoczyła mnie aż tak bardzo. Próbowałem więc czytać i niebawem, dygocząc z niepokoju, pogрузyłem się w lekturze szalonego „Necronomiconu” odnalazłszy w nim pewien wyjątkowo zajmujący fragment, myśli i legendę, zbyt upiorną, aby człowiek mógł zachować zdrowe zmysły i świadomość. Nagle wydało mi się, że usłyszałem trzask zamykanego okna, przy którym stała ława, jakby wcześniej ktoś ukradkiem je odchylił.

Zaraz potem rozległo się brzęczenie i turkot, ale inny niż dźwięk pracującego kołowrotka staruszki. Było jednak bardzo ciche, gdyż kądziel staruszki wirowała przeraźliwie szybko, a niebawem do odgłosów w pokoju dołączyło bicie starego zegara. Nie widziałem już osób siedzących na ławie i do reszty pogрузyłem się w przerażającej lekturze, gdy nagle do pokoju powrócił starzec w butach, ubrany w luźny stary strój i usiadł na ławce z dala ode mnie tak, że nie mogłem go widzieć.

Wyczekiwanie było bardzo denerwujące a wrażenie to podwajała obecność bluźnierczej książki, którą trzymałem w dłoniach. Kiedy wybiła jedenasta starzec wstał, prześlizgnął się do masywnej, rzeźbionej komody stojącej w rogu i wyjął z niej dwa płaszcze z kapturami. Jeden nałożył sam, drugim zaś owinął staruszkę, która wreszcie przestała prząść. Następnie oboje ruszyli ku drzwiom wyjściowym; kobieta wyraźnie utykała, starzec zaś wyjąwszy mi z rąk książkę, którą czytałem skinął na mnie, po czym nasunął kaptur głębiej na czoło i mroczny cień przesłonił jego nieruchome oblicze, czy może raczej maskę.

Wyszliśmy na ulicę w bezksiężycową noc i podążyliśmy przez labirynt wąskich, krętych, trudnych do przebycia uliczek. Gdy szliśmy, światła w oknach z zaciągniętymi zasłonami gasły, jedno po drugim. Psia Gwiazda łąpała z niebios na potoki odzianych w płaszcze i peleryny postaci, wypływające bezgłośnie ze wszystkich bram, wejść i drzwi, formujących gigantyczne procesje sunące ulicami, mijające skrzypiące na wietrze, zardzewiałe szyldy i przedpotopowe topole, przesuujące się obok chat ze słomianymi dachami i diamentowymi wielopanelowymi oknami, przemykające w pośpiechu alejkami, gdzie popadające w ruinę domy osuwając się nadgryzione zębem czasu na siebie, stykały się ścianami, aby później wspólnie obrócić się w gruzy, przecinające otwarte place i



dziedzińce kościołów, na których kołyszące się latarnie tworzyły przeraźliwe, wirujące w obłądnym tańcu świetlne konstelacje.

Podążałem wraz z tymi milczącymi tłumami w ślad za moimi cichymi przewodnikami; czułem uderzające mnie łokcie, które wydawały się nienaturalnie miękkie, i nacisk podejrzanie wiotkich piersi i brzuchów; nigdzie jednak nie dostrzegłem żadnego oblicza, ani nie usłyszałem choćby jednego słowa. Dziwne procesje pięły się coraz wyżej i wyżej w górę: ujrzałem, że ich celem, miejscem w którym gromadziły się tłumy, był szczyt pagórka pośrodku miasta, na którym wznosił się ogromny biały kościół.

Widziałem go z drogi na zboczu wzgórza, gdy o zmierzchu przyglądałem się Kingsport i zamarłem, gdy odniosłem wrażenie, że przez krótką chwilę na końcu jego iglicy zdawał się balansować świecący jasno Aldebaran.

Wokół kościoła znajdowała się otwarta przestrzeń, po części dziedziniec z widmowymi kolumnami, po części zaś na wpół wybrukowany plac omieciony wiatrem ze śniegu i otoczony plugawymi, archaicznymi domami o spiczastych dachach i górującymi nad nimi topolami. Ogniki śmierci tańczyły nad grobowcami ukazując przerażające wizje, choć mogło wydawać się osobliwe, iż nie rzucały one cieni. Po minięciu dziedzińca, gdzie nie było już żadnych domów, ujrzałem wierzchołek wzgórza i odbicie migoczących gwiazd w wodach zatoki, samo miasto było niewidoczne w ciemnościach. Co pewien czas zapalona latarnia kołysząc się przemierzała serpentynę alejek, aby omieść tłum, który obecnie w milczeniu zniknął wewnątrz kościoła. Oczekałem aż korowód zniknie w mrocznym wejściu i zaczekałem aż do środka wejdą ostatni sunący wolno maruderzy. Starzec pociągnął mnie za rękę, ja jednak uparłem się, że będę ostatni.

Przekroczywszy próg zatłoczonej świątyni, w której panowały egipskie ciemności, raz jeszcze obejrzałem się za siebie i omiotłem spojrzeniem dziedziniec skąpany w dziwnej, przerażającej, złowrogiej fosforescencji. Kiedy to uczyniłem – zadrżałem. Wiatr nie pozostawił na szczycie pagórka zbyt wiele śniegu, widać było jedynie kilka białych splechci przy drzwiach, jednak, w tej krótkiej chwili, moje oczy nie dostrzegły na nich żadnych śladów stóp, nawet moich własnych.

Kościół był słabo oświetlony kilkoma latarniami, gdyż większość ludzi, którzy tu weszli, zniknęli. Przechodzili główną nawą ku otwartej klapie zejścia prowadzącego do krypt, ziejących upiorną czernią poniżej kazalnicy, bezgłośnie schodzili w duszną czeluść. Długość tego milczącego korowodu była zatrważająca, a jeszcze większą grozą napawał mnie widok upiornej procesji schodzącej w głąb sędziwego grobowca. Nagle zauważyłem, że w posadzce grobowca znajdowała się szczelina i tam właśnie wchodzili milczący, czarno odziani ludzie; w chwilę potem wszyscy schodziliśmy po złowieszczych, kamiennych stopniach; wąskie, wilgotne schody wydzielające dziwny odór wiły się, zdawałoby się bez końca, w głąb trzewi wzgórza wzdłuż monottonnych ścian, ociekających wilgocią kamiennych bloków i odpadającej gipsowej zaprawy.

Było to milczące, szokujące zejście i po krótkiej acz przerażającej przerwie zauważyłem, że wygląd ścian i podłoża zmienił się, jakby stopnie wykute zostały w litej skale. Najbardziej niepokoiło mnie, że setki schodzących po nich stóp nie czyniło żadnego, nawet najcichszego dźwięku czy echa. Po kolejnych eonach chodzenia, ujrzałem kilka bocznych korytarzy czy nor prowadzących do tego nocnego korytarza tajemnic z nieznanymi, atramentowe czarnymi, czeluści. Niebawem stały się liczniejsze niczym bezbożne katakumby bezimiennej grozy; bijący z nich odór rozkładu stawał się wręcz nie do zniesienia. Wiedziałem, że

musieliśmy minąć zbocza góry i znajdowaliśmy się teraz gdzieś pod samym Kingsport; przeszył mnie dreszcz, kiedy uświadomiłem sobie, że miasto mogło być tak stare i do cna przeżarte podziemnym złem.

Niedługo potem ujrzałem blask posępnego, trupiego, bladego światła – i usłyszałem głuchy plusk, nie oglądających słonecznego światła, fal.

Ponownie zadrzałem, gdyż wcale nie przypadły mi do gustu rzeczy, które przyniosła ze sobą noc i przez chwilę czułem rozgoryczenie i żal do przodków, że wezwali mnie, abym przybył, by wziąć udział w pradawnym rytuale, kiedy nagle stopnie i korytarz poszerzyły się, usłyszałem kolejny dźwięk, piskliwie zawodzące, kpiące, falujące tony fletu i tuż przede mną roztoczyła się bezkresna panorama wewnętrznego świata; rozległy, zarośnięty i przeżarty grzybem brzeg oświetlony buchającą kolumną plugawego zielonkawego ognia, obmywany falami szerokiej, oleistej rzeki napływającymi z nieznanymi i przerażającymi otchłani, by złączyć się z najczarniejszymi odmętami odwiecznego oceanu.

Oslabły i zdyszany spojrzałem na ów bluźnierczy Erebus tytanicznych muchomorów, trędowaty ogień i oleiste wody i ujrzałem, że odziany w peleryny tłum utworzył półokrąg wokół buchającej ogniem kolumny. To był rytuał Yule, starszy niż człowiek, a losem jego było go przeżyć; pierwotny rytuał przesilenia dnia z nocą i obietnicy nadejścia wiosny po zimowych śniegach; rytuał ognia i wiecznej zieloności, światła i muzyki.

I w tej posępnej grocie ujrzałem jak odprawiają rytuał, adorując plugawy słup ognia i wrzucając w mroczne odmęty wyrywane garściami lepkie fragmenty świecących pasożytniczych grzybów.

Zobaczyłem to, a później ujrzałem jeszcze coś – amorficzną istotę kucającą w oddali i grającą hałaśliwą piskliwą melodię na flecie; poprzez tony fletu wydawało mi się, że usłyszałem mrozące krew w żyłach

słumione trzepotanie, dochodzące z tonących w nieprzeniknionej ciemności czeluści jaskini.

Najbardziej przeraziła mnie jednak płonąca kolumna, wytryskająca niczym gejzer lub wulkaniczna lawa z niezgłębionych, posępnych miejsc, nie rzucająca cienia, jak powinno to mieć miejsce w przypadku zdrowego ognia i pokrywająca spękane kamienie plugawym, jadowitym grynszpanem. Szalony ten wir bowiem, nie dawał nawet odrobiny ciepła, a jedyne co się w nim zawierało to gliniasta wilgoć i zgnilizna śmierci i rozkładu.

Człowiek, który mnie tu przyprowadził precyzyjnie się, by stanął na wprost upiornego promienia i wykonał kilka sztywnych ceremonialnych ruchów skierowanych do stojących przed nim w półokręgu postaci. W pewnych stadiach rytuału zebrani wykonywali głęboki pokłon, zwłaszcza gdy prowadzący wznosił nad głową zabrany tu ze sobą egzemplarz odrażającego „Necronomiconu” – ja również biłem pokłony wraz z innymi. Nagle starzec dał sygnał na wpeł widocznemu w ciemności fleciście i ton dźwięków zmienił się, stając się nieco głośniejszy i mniej chwiejny niż dotychczas; było to swoiste preludium do niewyobrażalnego i zgoła nieoczekiwanego koszmaru. Ujrawszy ową zgrozę o mało nie padłem na pokrytą porostami ziemię, gdyż moje serce stanęło z przerażenia. Zobaczyłem coś, co nie pochodziło z tego czy innego świata, ale wprost z szalonych przestrzeni pomiędzy gwiazdami. Z niewyobrażalnej czerni poza gangrenicznym blaskiem zimnego ognia, z najdalszych zakamarków Tartaru, przez które przetaczały się posępnie czarne, oleiste fale rzeki, wyłoniło się trzepocząc skrzydłami stado oswojonych, wytrenowanych, chimerycznych, skrzydlatych istot, których ni słowem, ni okiem nie byłeś w stanie zmierzyć, i których wyglądu twój mózg z pewnością nie zdołałby zapamiętać.

Nie były to kruki, krety, myszołowy, mrówki, nietoperze, wampiry ani gnijące ludzkie zwłoki, lecz coś czego nie potrafię i nie chcę sobie przytomnieć.

Unosiły się niezdarnie w powietrzu, pomagając sobie na poły dłońmi, o palcach połączonych błoną, na poły zaś skórzastymi, półprzeźroczystymi skrzydłami; kiedy zaś dotarły do tłumu okutanych w czarne peleryny uczestników ceremonii, ci, jeden po drugim, poczęli na nie wsiadać i odlatywać ponad ponurymi czarnymi falami rzeki w głąb jaskiń i galerii mroku, gdzie trujące potoki zasilają przerażające i nieodkryte dotąd katarakty.

Stara prządka odleciała wraz z innymi, starzec zaś pozostał tylko dlatego, iż odmówiłem kiedy skinął na mnie, nakazując mi wskoczyć na grzbiet jednego z odrażających stworzeń i zrobić to samo, co pozostali. Dwie skrzydlate bestie czekały posłusznie opodal. Kiedy zwlekałem, starzec wyjął swój rysik i tabliczkę, po czym napisał, że był prawdziwym wysłannikiem moich przodków, którzy założyli kult Yule w tym pradawnym miejscu, że mój powrót został z góry przewidziany i że najbardziej sekretne tajemnice miały dopiero zostać ujawnione. Napisał te słowa bardzo starą ręką, a kiedy nadal się wahałem –spomiędzy fałd swej szaty wyjął pierścion z pieczęcią i zegarek, przy czym na obu tych przedmiotach widniał znak herbowy mojego rodu. W ten sposób starzec zamierzał potwierdzić prawdziwość swoich słów. Był to jednak odrażający dowód, ponieważ ze starych dokumentów wiedziałem, iż zegarek ów został pogrzebany wraz z moim pra–pra–pradziadkiem w 1698 roku.

Potem starzec zsunął z głowy kaptur. Jego oblicze nosiło pewne cechy rodzinnego podobieństwa, ale tylko się wzdrygnąłem, byłem bowiem pewny, że ta twarz była jedynie woskową maską.

Trzepoczące skrzydłami stwory, wyraźnie zniecierpliwione, drapały szponami poszycie z mchów i, jak zauważyłem, starzec był równie zaniepokojony jak one. Kiedy jeden ze stworów zaczął oddalać się chwiejnym krokiem, starzec odwrócił się gwałtownie, by go zatrzymać; ruch ten sprawił, że woskowa maska obsunęła się z tego, co powinno być jego głową...

I wtedy, ponieważ upiorna postać oddzielała mnie od kamiennych schodów, którymi tu dotarliśmy, rzuciłem się szczupakiem w oleiste fale podziemnej rzeki docierającej gdzieś hen, do podmorskich jaskiń. Dałem nurka w głąb gnijących soków wewnątrz ziemskich koszmarów, zanim moje szalone wrzaski zdołałyby sprowadzić do tej groty wszystkie piekielne legiony, jakie mogły czaić się w tych cuchnących śmiercią, zgnilizną i morem czeluściach.

W szpitalu powiedziano mi, że o świcie znaleziono mnie na wpół zamarzniętego w zatoce Kingsport, ściskającego kurczowo unoszący się na falach fragment krokwi, którą zesłał mi los, by mnie ocalić. Powiedzieli, że poprzedniej nocy musiałem skręcić w niewłaściwą odnogę drogi prowadzącej na wzgórze i spadłem z krawędzi klifu w Orange Point; wszystko to wydedukowali na podstawie odnalezionych śladów. Nic nie mogłem im powiedzieć, ponieważ teraz wszystko było zmienione. Dokładnie wszystko, począwszy od szerokich okien, za którymi było widać morze dachów, z których jedynie pięć było starych, poprzez odgłosy tramwajów i samochodów, przejeżdżających ulicami, poniżej. Upierali się, że to było Kingsport i nie mogłem temu zaprzeczyć. Kiedy doznałem ataku hysterii na wieść, iż szpital stał w pobliżu starego cmentarza na Central Hill, wysłali mnie do szpitala St. Mary's w Arkham, gdzie zapewniono mi lepszą opiekę. Podobało mi się tam, lekarze byli bardziej światli i nawet wykorzystali swoje wpływy, by wypożyczyć dla mnie skrzętnie ukrywaną

kopię odrażającego „Necronomiconu” szalonego Alhazreda, trzymanego pod kluczem w bibliotece uniwersytetu Miskatonic. Powiedzieli coś o „psychozie” i przyznałem, że będzie lepiej, jeśli oczyszczą mój umysł z wszelkich kalających go potencjalnych obsesji. Dlatego też przeczytałem ów przerażający, plugawy rozdział i wzdrygnąłem się ponownie, ponieważ wcale nie był dla mnie niczym nowym. Widziałem go już wcześniej, a ślady stóp niechaj mówią sobie co chcą; gdzie zaś zobaczyłem tę księgę, niechaj zostanie jak najszybciej zapomniane. Na jawie nie było nikogo, kto mógłby mi o tym przypominać – niemniej jednak moje sny przepełnione są grozą wywołaną słowami, których nie odważę się przytoczyć.

Jestem w stanie zacytować tylko jeden akapit, przekładając go dość nieudolnie na angielski, ze starej, prymitywnej łaciny:

„Najniższe jaskinie nie służą zgłębianiu przez oczy, które widzą; cuda ich bowiem są osobliwe i przerażające. Przeklętą jest ziemia, gdzie umarłe myśli żyją w nowych, dziwnych powłokach cielesnych, i złym jest umysł, który nie zawiera się wewnątrz czaszki.

Mądrze rzecze Ibn Schacabao, że szczęśliwym jest grób, gdzie nie spoczywa czarownik i szczęśliwe jest nocą miasto, gdzie wszyscy czarownicy zostali spaleni na proch.

Stare plotki głoszą, iż dusza zapredanego diabłu nie pobiera sił z cmentarnej gliny, ale z tłuszczu i rozkazuje Robakowi, który pożera; aż z gnijących tkanek budzi się nowe, upiorne życie, a ci żyjący pod ziemią modelują je i wypełniają jego puste wnętrza, aż napęcznieje do monstrualnych rozmiarów...

Wielkie otwory wykopano w sekrecie w miejscach gdzie wystarczyłyby zwyczajne, istoty zaś, które winny pełzać, nauczyły się stąpać jak ludzie."